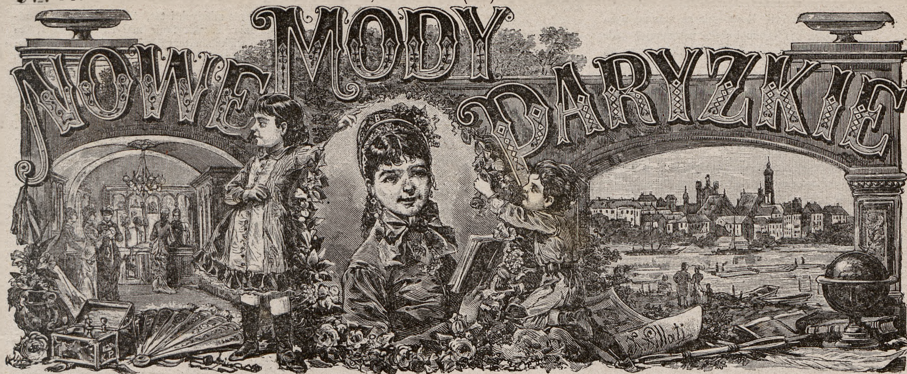
№ 38. Warszawa, dnia 10 (22) Grudnia 1880 r. Rok 1.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej, w Warszawie: Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.

Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI: **ulica Niecała Nr 8.**

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej, w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.

Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

W KRAINIE ZŁOTA.

NOWELLA.

PRZEZ

LITWOSA.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Wrażenia.

Gdy nad „łąką“ ukazał się księżyc i rozświecił białawe tumany, unoszące się z mokradli, w mieście nie było słychać ani ochrypłych głosów pijackich, ani wystrzałów karabinowych.

Jedna hałaśliwa banda probowała przebiegać ulice, ze zwykłemi wrzaskami, ale rozproszono ją natychmiast.

— Czy nie wiecie, Goddam! że „ladies“ są w mieście?—mówili górnicy, zapędzając pijanych irlandczyków do domów i między deski.

Zato codzienne zgromadzenie w hotelu gentlemanów było tak liczne, że zmieniło się w prawdziwy meeting. Rozprawiano obszernie o tem, kto mogły być te „ladies,“ a kwestya czy zostaną, czy odjadą, stała się najważniejszem pytaniem chwili.

Dla tych ludzi, żyjących wśród nożowych i rewolwerowych stosunków, nie przywykłych do widzenia niczego, coby nie było czemś grubijańskiem, szorstkiem i brutalnem, te kobiety takie delikatne, piękne i widocznie pochodzące z wyższych sfer społecznych, wydały się prawie jakiemś nadziemskiem promiennem zjawiskiem. Zdawało im się, że dla miasta i dla nich samych zaczęłoby się nowe życie, gdyby owe promienie stale nad niem zaświeciły.

Jakoż samo ukazanie się kobiety, odrazu złagodziło zwykły brutalny obyczaj. Rozprawiano gwarnie, ale spokojnie. Bowie-knifes zostały w pochwach, a rewolwery w kieszeniach. Nie grano także w karty, a pito tylko kock-tail, t. j. trzęsionkę, zamiast zwyczajnych, ogromnych porcyi whisky.

Tymczasem zachwycano się nowo przybyłemi, na koszt owej praczki, która uciekła na statku wielorybim.

— By God!—mówił John Rows, młody drwal z lasów dębowych—zawsze mówiłem że tamta była „humbug.“

— A jednak oświadczyłeś się jej—odparł milioner Marya.

— Bo wszyscy to robili. Zresztą byłbym ją wziął do lasu. Ale co to za porównanie!

Teraz gdym zobaczył tę lady z jasnemi włosami, to zaraz tak mi się coś zrobiło w piersiach, jakbym się napił gorącego grogu. To nie żaden humbug!...

— Well! well!—odpowiedzieli inni.

— Gentlemanowie!—mówił Rows—niech mnie powieszą, jeśli nie zgodzę się do niej na woźnicę, choćbym miał darmo poganiać muły do śmierci.

— Uspokój się Rows!—zauważył stary górnik.

— Chcę być potępionym jeśli się uspokoję. Na tę rękę! nie uspokoję się póki tchu w nozdrzach moich, i póki się nie dowiem jak jej imię i czy tu zostanie. Good bye! idę zaraz dowiedzieć się czegoś napewno.

To rzekłszy młody drwal pomacał instynktownie czy nóż łatwo wychodzi z pochwy i wyszedł. Tymczasem starsi i bogatsi górnicy, którzy całą duszą sprzyjali lynchowi, poczęli rozważać rzecz z innej strony. Gdyby te kobiety zostały w mieście, łatwiejby było utrzymać w niem porządek i bezpieczeństwo. Prawdopodobnie jedno słowo jasnowłosej lady, wiodłoby za sobą całe roje „gentlemanów,“ i nieznośne życie bez pewności posiadania i bez pewności jutra, mogłoby się skończyć raz na zawsze.

Rozmyślania owe przerwało dopiero przybycie Rowsa. Wrócił on po godzinie nieobecności, ale w stanie dość opłakanym, bo bez kapelusza, z podartą koszulą i bez noża. Otoczono go natychmiast.

— Co się stało? co ci jest?—pytano ze wszystkich stron.

— Co się stało?—odpowiedział Rows.—Miss Monteray jest aniołem.

— Więc nazywa się Monteray?

— O yes! ale by God, słuchajcie. Idę i myślę: spytam pierwszego z jej grubodziobów. Ciemno jest, bo mgła poszła w górę. Zbliżam się. Wreszcie zdaje mi się że widzę wozy; patrzę: coś się rusza; więc mówię: hej sir, słuchajno! aż tu ten sir jak ryknie, jak mnie złapie za łeb! zostawiłem kapelusz, kawał koszuli, nóż i uciekłem. Uciekam do domu Suttera i wrzeszczę, a Gryzli (bo to on był! potępienie na jego głowę!) goni za mną i ryczy. Wtem poczynają krzyczeć i od wozów, a wreszcie otwierają się drzwi i staje w nich nasza panna, a za nią Sutter ze światłem; tak ja jej prosto do nóg i krzyczę: help! a niedźwiedź mnie łap znowu.

— Well! well!...

— Dobrze wam mówić: well, ale ja myślałem, że moja ostatnia godzina się zbliża. Wtem nasza panna, mówi: „baby! let him alone!“ Słyszeliście? ona niedźwiedzia nazywa: „baby!“ A mówiła to głosem tak słodkim, jakby kto do rumu miodu namieszał; potępione to bydle zaś, zaraz przewróciło się jej do nóg i poczęło mruczeć. Pomór na jego głowę i przekleństwo na obie jego przednie łapy....

— Uspokój się Rows—rzekł z flegmą stary górnik.

— Well—mówił Rows—nasza panna pyta mnie wtedy, kto jestem i czego potrzebuję? Ale gdym na nią spojrzał, by God! takich oczów jak żyję nie widziałem i stawiam zaraz sto dolarów przeciw dziesięciu, że nikt nie widział, ani w New-Yorku, ani w Filadelfii. Chcę się zapaść, jeśli na całym Wschodzie jest jedna taka kobieta. Trzymam dwieście dolarów, trzymam trzysta....

— Uspokój się Rows!...

— Gdy tak do mnie ozwała się głosem słodszym od śpiewu maukawisa, tak mnie coś zaczęło ściskać w dołku, jakbym trzy dni nie jadł. Mówię tedy: beg your pardon... ale więcej nie mogłem. Ona uśmiechnęła się jak anioł i prosiła mnie do pokoju.

— I byłeś?

— Byłem: nie śmiałem usiąść. Tak mi było głupio jak gdyby mnie skalpowano, ale nareszcie powiedziałem, żem przyszedł się dowiedzieć kto ona jest. Niech jej Bóg błogosławi.

— A ona co?

— Ona na to: powiedz sir gentlemanom, swoim kolegom, że nazywam się Mary Monteray, jestem rodem z Louizjany i przybywam tu z mymi przyjaciołmi żyć pod ich opieką.

— Pod naszą opieką?

— Tak! Potem uścisnęła moją rękę. Jak mnie tu widzicie, tak ją uścisnęła swoją małą bieluchną błogosławioną rączką.... By God!... I powiedziała że nas szanuje....

Tu Rows nie mógł już więcej mówić ze wzruszenia. Inni ściskali z namaszczeniem jego żylastą, przywykłą do siekiery dłoń; on zaś stał przez chwilę w milczeniu: nareszcie nie mógł wytrzymać dłużej, wskoczył na stół zadarł głowę do góry, otworzył usta i ryknął:

— Hurra dla miss Monteray!

— Hip! hip! hurra dla miss Monteray—odpowiedziało sto głosów.

— Hurra dla naszej panienki....

— Dla naszego dziecka!

— Dla naszej słodkiej!...

Posypały się oklaski, mowy, okrzyki.... W pół godziny później postanowiono iść razem z deputacyą do panny Monteray.

Ciemna przed chwilą ulica zajaśniała od zapalonych pęków ostrużyn i łoziny, przy tych zaś blaskach widać było długi nakształt węża szereg górników i drwali, posuwający się zwolna ku domowi jenerała Suttera.

(d. c. n.)

PROŚBA ZROZPACZONEGO.

Dół głęboki i trumna szeroka,
By mi było w niej leżeć przestrono....
Smutna topol... smutna, lecz wysoka!
Z głową hardo ku górze wzniesioną!

Kilka kwiatków zerwanych wprost z pola
I rzuconych na grób mój niedbale:
Oto wszystko, czem ludzka mnie wola
Niech obdarzy po śmierci—wspaniale!

A tylko... o jedno was proszę
Z samotnego mojego ukrycia:
Nie stawiajcie mi krzyżów!... Tych noszę
Już tak dużo—na ziemi—za życia!

Bogumił Aspis.

SOSNA I PALMA.

(Z Heinego).

Spowinięta w lód pościeli,
Na Północy sosna stoi!...
Gwiazdy we snach.... lód się bieli
I o palmie sosna roi.

O tej palmie co w oddali,
Na Sahary wzrosła piasku;
Długim liściem, łzą się żali,
Że zawiele w słońcu blasku....

Karol Pieńkowski.

Z TYGODNIA.

— Ruch przedświąteczny w całej pełni się rozwinął; ludzie na ulicach spiesząc się potrącają, w sklepach po półgodziny wyczekiwać trzeba na swoją kolej: dla kupców to wielkie szczęście, może powetują choć w części stagnacyą tegoroczną.

W ogóle rok ubiegły nie liczył się do wybranych. Ciężka zima przeszła, położyła swe piętno na wszystkiem. Produkta podrożały w sposób zatrważający, wywołując polemiki, komisye, narady, które nic jednak nie poradziły. Ceny utrzymują się wysokie i zostaną chyba takiemi, gdyż już dowiedzioną jest rzeczą, że raz utrzymana podwyżka w spożywczych artykułach, nie schodzi już do minimum; w końcu ludzie się przyzwyczajają, widząc w okół krok za krokiem postępującą drożyznę, z wyjątkiem ich płacy za krwawicę ciężką. I jak tu nie narzekać, jak nie westchnąć aby rok przyszły okazał się łaskawszym. Wiele rodzin zmienić musiało tryb swój życia, zejść na niższy szczebel w społeczeństwie, i rozumnie oni postąpili; jakże zaś nieopatrznemi są ci, którzy uparcie trzymając się dawnego sposobu życia, zaciągają długi, robią wysiłki nadludzkie, aby z placu nie ustąpić: w końcu ruina musi przyjść, pociągając w przepaść ofiary, które im zawierzyły.

Męczące to życie, coraz mniej w niem kwiatów a tyle cierni; kaleczą one nietylko ciało ale zgubny ucisk wywierają na ducha. Umysł troską przyciążony nie może wznieść się nad poziom ścieśnionych pojęć, trzeźwo i zdrowo sądzić o wszystkiem, talent się zabija tą walką o byt, marnieją zdolności, a mamona złotem potrząsając, śmieje się z Robertem Dyabłem, wołając: złoto, złoto, to chimera.

A jednak złoto jest dźwignią i siłą olbrzymią, podnosi przemysł, buduje szkoły, biednym schronienie daje, przytula opuszczonych; jakiż szczęśliwy kto go zbytecznie ma dla siebie i cząstkę rzucić może dla braci; święta dają temu najlepszą sposobność. Przy wydatkach zwykłych i koniecznych w tym czasie, łatwo grosz jakiś odrzucić dla tych, co nie mają za co radością świąt opromienić. Największą tu litość wzbudza dziatwa biedna, roje ich snują się przed sklepami, przykładając buzie zmarznięte do szyby. O! bo też co za cudne tam się ukazują lalki o złocistych włosach, niebieskich, jakby żywych oczkach, koniki drewniane malowane, ale jakież ponętne. Biedactwo napatrzyć się nie może i wzdycha ciężko, bo to owoc zakazany. Matki co pamiętają o uciechach swych pieszczochów, powinny niezapominać o tych biednych upośledzonych od losu, inaczej ścigać ich będą te westchnienia ciche, te łezki gorzkie. Jest w każdym domu, gdzie są dzieci małe, tyle nieużytecznych przedmiotów, ubranek, zabawek. Teraz właśnie jest pora przed Nowym Rokiem, wszystko to zebrać, rozklasyfikować, i dzieci do tego przyuczać, a chętnie, spodziewając się nowych na gwiazdkę zabawek, stare ustąpią. Jest to wdrażanie młodych istot, że tak powiem do miłosierdzia, roztkliwianie małych serduszek, co w tym wieku zmateryalizowania jest koniecznem; inaczej wszelkie uczucie na niedolę bliźniego stępieje, za młodu nie nabyte, na starość się nie znajdzie.

— W szpitaliku dziecinnym, po chorobie przychodzące do sił dzieci, nie mają się w co cieplejszego przyodziać. Po powrocie do rodziny znów są narażone na przeziębienie i recydywę choroby. Kto może niech stare ubranie, buciki tam nadsyła, na ręce Siostr Miłosierdzia (Aleksandrya 23). Z jakąż radością zabawki będą witane przez chore, wynędzniałe istotki; ile szczęścia przyniosą, uśmiechem twarzyczkę rozpromienią. Matki! pamiętajcie niech ten uśmiech, błogosławieństwo Boże przy Gwiazdce waszym dzieciom niesie.

— Do przedświątecznego zwyczaju należy także Bazar urządzony w salach redutowych, w niedzielę o godzinę 1-ej popołudniu. Wieczorną porą napływ gości był największy, przy dźwiękach muzyki i rzęsistem oświetleniu. Największy pokup miały towary u sklepów własnych: hr. Róży Krasińskiej, hr. Branickiej i hr. Małachowskiej, oraz Towarzystwa Dobroczynności. Lalki pani Umińskiej, jak to przewidywaliśmy, ogólne uznanie zyskały. Dziarskich krakusów wnet rozkupiono. Gospodynie w fartuchach na plecach, w malowniczym stroju wieśniaczek naszych, łatwo nabywców znalazły. W sklepie p. Majewskiego (laboratoryum chemiczne warszawskie) miał wielki pokup kalendarzyk na rok 1881 p. t. Pamiątka z Bazaru; zawierał on listę dam, które w tem dobroczynnym dziele udział wzięły. O rezultacie ofiar dla biednych, później listę podamy, zaznaczamy tylko iż pierwszego dnia zwiedziło Bazar osób przeszło dwa tysiące.

— Nawał mamy prospektów, weszło to już w zwyczaj, że nie tylko nowe pisma ale i stare tym sposobem przypominają się publiczności. Tygodnik illustrowany, Tygodnik powszechny, Ateneum, Bluszcz, Kłosy, puściły już w świat zapowiedzie swej działalności na rok 1881.

Nasz prospekt zwiastujący zarazem Wiosnę, pismo dla panien, które od Nowego Roku rozpoczniemy, czytelniczki przy dzisiejszym numerze mają załączony. Zawiera on nasze wyznanie wiary, znane już Wam z dotychczasowego kierunku pisma i obietnicę większego rozwoju na przyszłość, nie dla zachęty tylko daną, ale w skutek Waszego poparcia wynikłą. Żegnając się z Wami w roku starym, wyrażamy dzięki za uznanie naszej pracy, ślemy wam zarazem życzenia świąt wesołych i powodzenia w Waszych zamiarach na rok nowy.

— Włosi coraz więcej zajmują się piśmiennictwem naszem, w Turynie w Collège de France, ziomek nasz p. Z. wykłada język polski, a wielu z pisarzy zajmuje się przekładem na język włoski utworów poetów naszych. Najczynniejszym w tej mierze jest adwokat z Turynu, Atilio Begey, miłośnik literatury naszej, który niedawno zwiedzał kraj nasz z gorącem uwielbieniem dla pamiątek jego. Znane są prace profesora Santagaty w Bolonii; żyje on w przyjaźni z Lenartowiczem i ceni wysoko wieszcza; on właśnie dał pohop do zawiązania w Bolonii akademii Mickiewicza, która i u nas zaczyna rozgłos znajdować, a liczy dość znaczną liczbę członków; wpis roczny wynosi rs. 3 lub jednorazowy rs. 21, pośrednictwo w tym względzie przyjął na siebie Tygodnik illustrowany.

— Warszawa w całej pełni używa wrażeń muzykalnych, niedawno Kochańska teraz Sarasete pieści ucho czarownemi dźwięki. Gra jego nieporównana rozmarza, ducha od ziemi odrywa, wznosząc go w podniebne strony. Wracać ztamtąd jak smutno i tęskno, dzięki więc poecie-muzykowi za te chwile czarowne, któremi nas darzył. Ostatni koncert jego w niedzielę, 19 grudnia tłumy ściągnął i sporą zapewne cząstkę otrzyma kościół Wszystkich Świętych na organy; gdyż dochód z koncertu na ten cel został przeznaczony.

— O Posągu, dramacie, pióra p. Wacława Szymanowskiego, wszystkie pisma pochlebnie się odzywają, pozostawiamy recenzyę właściwemu sprawozdawcy, a przechodzimy do spraw codziennych naszego grodu, zaznaczając ogłoszenie sprawozdania rocznego w zakładzie p. Łojki. Zakład w tym roku wykształcił mniej niż zwykle uczennic, szczególnie uderzającą jest różnica na kursie kroju. Inne kursa więcej miały kandydatek.

Nigdy nie przestaniemy namawiać kobiet, aby fachowem wykształceniem dopełniały wyższą naukę. Nasza szkoła rzemiosł liczy już 11 uczennic na kursie krawieczczyzny, 3 uczy się robót ręcznych, tyleż strojów, jedna heliominiatur. Inne działy czekają na uczennice, które niezwłocznie po zebraniu stosownej liczby uczących się, zostaną otwarte. Mamy nadzieję, że po Nowym Roku więcej uczennic przybędzie.

M. R.

Wzór opowiadanej dla dzieci lekcyi Antropologii.

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

IX.

W tem miejscu, może postawicie pytanie: zkąd my wiemy, że te pozostałości po pierwszych ludziach są tak bardzo a bardzo stare?

Aby wam odpowiedzieć, o ile można, jasno, opiszę jedne z tych wielu miejscowości, gdzie znalezione zostały dawne kości i narzędzia.

W południowej okolicy Devonschir'u, w miejscowości Brixhum w Anglii, znajduje się wielka jaskinia, odkryta przed szesnastu laty w skutek zapadnięcia się ziemi. Dno jaskini jest stalaksytowe, t. j. powstało ono z cząstek wapiennych, które rozpuściły się w wodzie i ściekły z jej kroplami z góry na dno, gdzie skamieniały. *Stalaktyt* pochodzi od wyrazu greckiego, który znaczy: *kropla*. Skopano dno na stopę głęboko i znaleziono tu kości renifera, jako też niedźwiedzia jaskiniowego; głębiej jeszcze była warstwa czerwonawej gliny, gruba na jakie trzynaście stóp a w niej krzemienne nożyki i kości mamuta. Poniżej znowu na 20 stóp w głąb rozpościerała się piaszczysta warstwa, w której także znaleziono narzędzia krzemienne oraz nieco drobnych kości.

Więcej niż trzydzieści narzędzi krzemiennych wydobyto z tej jaskini razem z kośćiami niedźwiedzi, oraz wełnistych słoni; że zaś takie narzędzia wyrobione zostały ręką ludzką, wniosek więc ztąd łatwo wyprowadzić, iż w tej okolicy przemieszkiwał człowiek, podczas gdy w niej żyły, także jednocześnie wspomniane zwierzęta.

Ale jakiż dowód, że kości tych zwierząt są tak bardzo stare? Pominąwszy już fakt, iż od wielu wieków nikt nie widział żyjącego mamuta, ważny dowód stanowi tu głębokość, w jakiej rzeczone kości znalezione zostały. Z pewnością bowiem nikt nie troszczył się, aby dla nich kopać grób, a musiała być inna jakaś przyczyna nagromadzenia masy gliny, pod którą te kości spoczywały.

Do jaskini mogły one się dostać różnemi sposobami. Być może, iż zwierzęta, z których pochodzą owe resztki szkieletu, zakończyły życie na poblizkiem wzgórzu, a woda uniosła ich kości do jaskini. A może one szukały w jaskini schronienia, lub też—co w tym razie zdaje się być najprawdopodobniejszem — przemieszkiwały tutaj. Bądź cobądź, zajmijmy się sprawą nagromadzenia warstwy gliny oraz piasku, grubej na jakie trzydzieści pięć stóp, w której znaleziono wspomniane wykopaliska.

Czynnikiem, który pogrzebał te kości na długie, bardzo długie lata, jest niezmiernie działalna siła przyrody, która przedtem niż ktobądź istniał na ziemi i później jeszcze, nieustannie przewiercała skały, żłobiła głębokie doliny, kształtowała najwyższe góry, wydrążała najgłębsze jaskinie i która przenosiła ziemię z jednego miejsca na drugie, aby tworzyć w jednem miejscu obszerne krainy, w innem, rozległe morza. Jest to *woda*; ona a nie kto inny przygotowała naprzód Brixhamdzką jaskinię, złożyła w niej kości zwierząt, pokryła je suto; onato, od czasu jak w Devonshire żyły mamuty, niedźwiedzie oraz renifery, wyżłobiła okoliczne doliny na 100 stóp głębiej. Wprawdzie czas, jakiego woda potrzebuje do wydrążenia sobie koryta obszerniejszego lub do utworzenia jaskini, zależy od prędkości, z jaką ona płynie, jednak i najbystrzejszy strumień pracuje, stosunkowo bardzo powoli. Pomyślcie, iż Tamiza, płynąca tak prędko jak obecnie, potrzebuje jedenaście tysięcy siedemset czterdzieści lat, aby dolinę swoję obniżyć na jednę stopę. To też uczeni słusznie utrzymują, iż oręż krzemienny wyrabiany był przez człowieka przed wielu tysiącami lat.

X.

Z bytu tułaczego, dziki długowłosy człowiek, gryzący korzonki, lub czatujący za skałą czy drzewem na zdobycz, niepewny każdego poranku, czy go noc nie zaskoczy, nim sobie zdoła zapewnić dostateczny posiłek; człowiek ten stał się pasterzem, uprawiaczem roli, ucząc się poznawać nietylko wielkość ziemi, na której został osadnikiem, ale rozpoznając także niejasno własną wyższość ponad zwierzęta pól i ptastwo powietrza.

Niektórzy ludzie oceniając użyteczność pewnych zwierząt z powodu mleka i mięsa, jako pożywienia, oraz skór, młodych zwłaszcza zwierząt, dostarczających miękkiej odzieży, nauczyli się obłaskawiać zwierzęta i zbierać je w trzody albo stada, z któremi przenosili się z miejsca na miejsce, poszukując dobrych pastwisk. Byli to pierwsi pasterze, mieszkający w namiotach, które łatwo jest zwijać i na inne miejsce przenosić.

Tego rodzaju życie prowadził, znany wam z dziejów biblijnych Abraham; tak też żyją teraz jeszcze Arabowie oraz inne po dziś dzień koczujące plemiona.

Podczas gdy jedni ludzie polubili żywot pasterski, inni rozpoczęli życie osiadłe, stając się uprawiaczami ziemi, czyli rolnikami. W wielu językach wyraz ziemia znaczy tyle co *zaorana*.

Ażeby dobrze wykonać teraz nowe dzieło, człowiek uznał nieużyteczność surowych kamiennych narzędzi, swoich przodków; zachodziła potrzeba narzędzi z lepszego, twardszego materyału. Pozostawszy już atoli na jednem miejscu, ludzie nie mogli być zadowolnieni ani z baraków, jakie stawiano w epoce kamienia, ani z namiotów, używanych przez ludzi pasterzy; zaczęto przeto budować domy, przy których znajdowały się miejsca na pomieszczenie zwierząt i zboża.

Każdy dzień pogodny trzeba było użyć na uprawę niwy, to też pierwsi rolnicy radzi byli, gdy ich inni ludzie zastępowali w budowaniu domów i wyrabianiu potrzebnych narzędzi. I tak jedno po drugiem powstawały rozmaite rzemiosła, co się przyczyniało do skupiania ludzi w gromady, gwoli wzajemnej pamocy oraz zysku. Powstawały obok siebie domy, tworząc sioła lub wsi, które znowu zamieniały się w mniejsze i większe miasta, a wszystko razem tworzyło naród.

Łączyli się też nieraz ludzie w celu walki przeciw nieprzyjacielowi i wówczas albo wszyscy musieli znać sztukę wojenną, albo też wybierano najmężniejszych i najsilniejszych, którzy stanowili jakby armię. Częstokroć najlepszy lub najzdolniejszy ze wszystkich przedstawiał prawa, które wszyscy inni przyjmowali, aby ustalić porządek.

Zarówno w pierwszych epokach, jak i w późniejszych wybuchały złe ludzkie namiętności oraz zazdrość, sprawiając owe niszczące wojny, które pokryły żałobą niejedną szczęśliwą krainę. To pewna, że rolnicy w swoich zagrodach oraz mieszkańcy miast byli zawsze skłonniejsi do spokojnego życia niż tułacze plemiona, oraz wodzowie przewodniczący swoim hordom, żyjącym z pasterstwa. Ci zwykle siłą pragnęli pozyskiwać to, co im się podobało.

Powstały tedy pomiędzy ludźmi spory o posiadanie na własność różnych kraiu. Pasterze miłujący swoje łatwe zajęcia, bardziej niż twarde rękodzielnictwo, pragnęli nieraz używać dobrych płodów, które praca innych wydobyła z ziemi; podobał im się też i ostry, błyszczący oręż, zrobiony z kruszcu przetopionego.

Wszystkie tego rodzaju kwestye rozstrzygały się przez walkę.

Mocniejszy pokonywał słabszego, brał w posiadanie lub pustoszył jego kraj a zamieniał w niewolników tych jeńców, którzy warci byli oszczędzenia od śmierci.

W takich czasach, żadne tkliwsze uczucie nie rządziło sercem człowieka: bój i mord były hasłem.

Wojny jednakże nie ustaliły się raz na zawsze. Ludzie przekonali się że korzystniej było dla nich żyć w przyjaźni i pokoju. Wtedy mogły powstać stosunki handlowe. Jeżeli więc rolnik otrzymywał z ziemi więcej płodów, niż sam potrzebował, rad był, gdy mógł tę nadwyżkę wymieniać z pasterzem za bydło, lub z rzemieślnikiem za sprzęty i narzędzia a każdy z nich rad był z takiej zamiany.

Gdy ta wymiana jednych rzeczy za drugie znacznie wzrosła, okazało się iż zbyt uciążliwem jest przenoszenie różnych produktów z miejsca na miejsce, zwłaszcza, iż nie zawsze wymiana mogła nastąpić. Ustanowili więc ludzie pieniądze, które robiono z bronzu, a następnie ze złota i srebra. Z napisów w Tebach oraz z dziejów starożytnych dowiadujemy się, iż złoto oraz srebro dawno bardzo uważane były za majątek. W biblii napisano, że Abraham był „bardzo bogaty w bydło, złoto i srebro."

Po łacinie pieniądze nazywają się *pecunia*, co pochodzi od wyrazu *pecus*, znaczącego *bydło*. To nas uczy, iż pierwotnie majątek człowieka polegał na tem, ile miał bydła. Niejednąto ważną wiadomość przechowały nam różne języki; o nich też pomówimy teraz.

XI.

W jaki sposób człowiek doszedł do używania języka, o tem daremnie rozmyślali uczeni i mędrcy w różnych czasach.

Powiadają, iż ludzie nauczyli się mówić, naśladując różne głosy w przyrodzie; że np. słysząc ptaka krakającego, nazwali go *krukiem*, a innego, wydającego głos ku-ku, nazwali znowu *kukułką*. Jednakże takich wyrazów naśladowanych jest bardzo mało, a natomiast największa ich liczba daje się sprowadzić do pierwiastków, jak np. stół, stajnia, staw, stolica i t. d. mają wspólny pierwiastek *sta*, co oznacza stanie.

Pierwotnie człowiek posiadał bardzo mało wyrazów, a wszystkie były krótkie, jak ów pierwiastek *sta*. Kiedy trzeba było wyrazić innym swoje myśli, uciekano się do znaków, czyli gestów, wykonywanych za pomocą rąk lub głowy. Coś podobnego i dziś się odbywa, gdy zamiast powiedzieć *nie*, wstrząsamy głową, a zamiast *tak*, dajemy nią inne skinienie, wszystkim znane; uderzamy się też w dłonie na znak zawartej umowy lub podajemy sobie dłonie przy spotkaniu, co znaczy tyle co: *dzień dobry*, *jak się pan miewa* i t. d. Wszystko to stanowi język gestów. Użylibyśmy niezawodnie takiego języka, gdybyśmy się znaleźli wśród ludzi, których mowy nie moglibyśmy zrozumieć w żaden sposób.

(d. c. n.)

WYDAWNICTWA
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Każdy rok przynosi nam z sobą sporą wiązankę książek dla młodego wieku. Leżą one obecnie przed nami i wabią świetnemi kolory niby kwiaty, w których oby dzieci jak pszczółki pożywny miód znalazły. Rzadko bardzo zdarza się tam jad.... częściej niewinna bezbarwność.

W tym roku na zaznaczenie zasługuje pośmiertna praca K. Wł. Wójcickiego: „Życiorysy naszych znakomitych ludzi z XVIII i XIX wieku." Rzecz ta, napisana czystym językiem i zalecająca się szlachetną dążnością, jest jednak traktowana zbyt pobieżnie. Szczegóły ważniejsze pominięto tutaj na korzyść mniej ważnych; zachowano niedobry stosunek i w obszerności życiorysów i w podawanych wyjątkach. Ale.... *de mortuis aut nihil aut bene*, tem więcej, że obok tych cieni, książka ta ma wiele stron jasnych i z korzyścią czytana być może. Następne wydanie któryś z druhów autora powinienby przejrzeć i uzupełnić.

„Podróż mimowolna," Biarta, w przekładzie p. Rzętkowskiego jest jedną z najlepszych książek tłomaczonych dla młodzieży.

Rzecz sama zajmująca, a język bez zarzutu. Chłopcy czytający ją, nietylko się zaciekawią ale i zaprawią do poprawnego a jędrnego wysławiania się w rodzinnej swej mowie. Takich tłomaczeń więcej!

Pani Lejowa opracowała: „Przechadzkę ojca z dziećmi, po polu, łąkach i ogrodzie, czyli Świat roślinny." Dużo tam skrzętnie pozbieranych wiadomości, które przyniosą dzieciom niezawodny pożytek; wszakże więcej ścisłości w opisach a treściwości i ożywienia w stylu, podniosłoby jeszcze wartość tej książeczki.

Powinnibyśmy byli zacząć od elementarza, który w tej chwili wpada nam w ręce. Ułożony przez Anczyca i na metodzie głosowej oparty. Wyborna to książeczka: znać, że ten co ją napisał, własne dzieci uczył, a uczył z przejęciem. Oprócz pierwszej części elementarnej, są tam powiastki, wierszyki i zagadki, które i starsi z przyjemnością czytać mogą jak wszystko co jest nacechowane talentem.

„Biblioteczka dla młodzieży" wydawana przez tegoż samego autora, jedną ma tylko wadę: że zadroga. Czemu nie uprzystępnić i uboższej dziatwie, miłej i pożytecznej rozrywki?

P. Pauliny Krakowowej: „Niespodzianka (wydanie 7-me) i Pamiętniki młodej sieroty" (wydanie czwarte). Pierwsza dla dzieci, drugie dla młodzieży. Oba te dziełka nieraz już wspomniane, odznaczają się obok innych zalet tą niewypowiedzianą prostotą, z którą się autor rodzi jak malarz z kolorytem i której nikt w sobie nie wyrobi i niczem nie zastąpi. Jestto według nas najpopętniejszy przymiot autorów w ogóle a w szczególności tych, co piszą dla młodzieży.

Mamy przed sobą jeszcze Powieści prawdopodobne spolszczone według Emila Leclerc, przez nieodżałowanego Chęcińskiego. Książeczkę tę zdobią ryciny, z wielkim wdziękiem wykonane przez p. H. Pillatego.

I oto pp. Gebethner i Wolff wydali znowu owego czarodziejskiego „Robinsona Szwajcarskiego," według Stahla i Jana Macé. Kto tej książki nie zna (czy jest taki?), to niech do niej zajrzy; kto czytał, niech przeczyta po raz drugi, a nie pożałuje.

Taż sama firma wydała: „Świątek Zosi," p. Julii Zaleskiej. Ten Świątek to nasz dawny znajomy. Czytała nam go autorka kiedyś w rękopiśmie. Słuchając tego czytania zdawało nam się, że jesteśmy w ogródku, że nam się lata dziecięce wróciły i że jakaś dobra, bardzo dobra i kochająca ciocia opowiada nam śliczne rzeczy i tłomaczy cuda przyrody.... Czytanie to odbywało się w dniu jasnym, ciepłym, słonecznym.... Dzisiaj książeczka ta wpada nam w ręce w dniu ciemnym, zimnym, przy zachmurzonem niebie... pomimo to równie miłe czyni wrażenie, bo co dobre, to zawsze dobre bez względu na zmienne zewnętrzne warunki.

Rękopis był zatytułowany: *Ogródek Zosi...* zmioniono to na *Świątek*, dla tego zapewne, że myśl Zosi z ogródka wybiega na cały świat Boży; mybyśmy wszakże woleli pierwotny tytuł z małą zmianą np. *W ogródku Zosi*, choćby tylko dla tego, że to brzmi harmonijniej, bo niebrak jednej zgłoski jak w tytule: *Świątek Zosi*. Ale jestto wyszukiwanie plam na słońcu.... Zrozumieją nas tylko ci, co mają łatwość rymowania; tacy bowiem zawsze szukają jakiejś wykwintnej harmonii w stylu, która, podobnie jak w życiu, nie zawsze się zdarza.

Pomimo tej kwestyi tytułowej, ze wszystkich książek tegorocznych dla małych dzieci, najwięcej zajmująco i najprzystępniej napisany jest *Świątek Zosi.*

Wydawnictwa malownicze okazale się przedstawiają... okazale, ale... czy odznaczają się trafnym wyborem, to pytanie? Ta *Nędza z biedą* np. tworzą tak wstrętny obrazek, pomimo świetnych barw, że lepiejby było tej klechdy nie illustrować. Wolimy już *Cud nad cudami*, bo jakkolwiek i to pożytku rzeczywistego dziatwie nie przyniesie, ale nie razi przynajmniej estetycznego smaku i dostarczy miłej rozrywki. Od tych malowanek użyteczniejsze są gry Freblowskie, z objaśnieniami p. Adolfa Dygasińskiego. *Robota z grochu* zaznajomi chłopaczków z elementarnemi wiadomościami z geometryi i ułatwi w następstwie naukę rysunków; *Wyszywanie* zaprawi dziewczynkę do haftów kolorowych, które z czasem kobiecie nietylko rozrywkę ale i korzyść materyalną przynieść mogą. *Koszykarstwo* zabawi oboje i kto wie, czy nie podda im myśli, aby, gdy wyrosną, wspierali tę gałęź przemysłu krajowego, która tak późno zaczęła się u nas rozwijać. Zabawki te są tak ponętne, że ażby się chciało stać znowu dzieckiem by bawić się niemi.

A teraz *pro domo sua*. Już w jednym z ostatnich numerów mód, redaktorka oznajmiła Wam, łaskawe czytelniczki, o nowomającem powstać pisemku dla panien. „I jeszcze jedno pismo!" powiecie nam może... ale jeżeli jakiego, to tego właśnie potrzeba dawała się czuć oddawna. Cóż bowiem było dać w rękę podlotkowi, któremu Przyjaciel Dzieci i Wieczory już nie wystarczały, a inne pisma nie dostrajały się jeszcze do tego młodziutkiego umysłu? Nieraz byliśmy w kłopocie, gdy nauczycielki z prowincyi zapytywały nas, jakie pismo zaprenumerować dla 15 lub 16 letniej uczennicy....

Wszystkie kraje ucywilizowane mają czasopisma dla panien, że tylko wspomnę tak dobrze znane Journal des Demoiselles.... Przypomina nam się, że jeden ojciec prenumerował je przed kilku laty dla swego synka, któremu już Przyjaciel Dzieci nie wystarczał.... To dowodzi potrzeby takiego pisma. Nasze będzie bez *mód*, bo u nas coraz mniej pieniędzy na zaspokojenie kaprysów tej fantastycznej pani.... Natomiast, jako premium podawać będziemy wzory robót, i zaznajamiać w przyszłości z coraz to nowemi, gdy powodzenie pisma pozwoli nam na wprowadzenie illustracyi i rozszerzenie programu.

Zrazu ograniczymy się na części literackiej, z dodatkiem najpotrzebniejszych przepisów domowych. Współpracownictwo obiecali nam między innemi: A. E. Odyniec, ten sędziwy a zawsze młody przyjaciel młodzieży; pani Krakowowa, która nas obdarzy powieściami historycznemi; p. Dzieduszycka, która gotuje dla nas traktacik o obowiązkach panienek (p. t. Książka polskiego dziewczęcia), oraz szereg monografij naszych poetów; p. Seweryna Duchińska (Pruszakowa) która już zasiliła tekę naszą poetycznemi utworami; p. Lenartowicz, który nam obiecał napisać pierwszą swoją rzecz prozą t. j. powiastkę na tle ludowem osnutą; Deotyma, która łaskawie przychylając się do naszej prośby, obdarzy nas może jakimś czarodziejskim utworem z lat swoich dziecięcych. Czcigodny i niewypowiedzianie dobry nasz Kraszewski, już nadesłał nam kilka urywków poetycznych; Sienkiewicz obiecał napisać nam Przygody młodych podróżnych. Hr. Wawrzyniec Engeström dostarczać nam będzie łaskawie przekładów z literatury szwedzkiej; Adam Pług przyrzekł nam dać coś ze swych wspomnień; W. Gerson i hr. Wojciech Dzieduszycki, prace z dziedziny sztuk pięknych; Z. Gloger i Wł. Nowicki, zwyczaje i podania ludowe; kilku znanych przyrodników popularne artykuły, że nie przytoczę już innych życzliwych współpracowników i współpracowniczek.

Postaramy się, aby „*Wiosna*" zadowolniła wymagania tak młodszych jak i starszych panien; żeby tak jedne jak drugie znalazły w niej świeżą i miłą rozrywkę, obok prawdziwego pożytku dla umysłu i serca. W *Wiośnie* tej będą motyle i kwiaty, ale będzie też i zdrowe ziarno, które, rzucone na bujną ziemię, da Bóg, bujny też owoc przyniesie.

Jaskółka.

Korespondencya z Paryża.

Listopad 1880 r.

(Dokończenie).

Paryż nie zna prawie zupełnie Szekspira. Rzeczpospolita chciała niedostatkowi temu zaradzić i znajdujący się na placu Chatelet, Théatre lyrique, nazwała Théatre des nations i kazała mu grać arcydzieła obce, obiecując swoją subwencyę. Pomimo cen nizkich, na dramatach Szyllera i Szekspira sala była pusta i Théatre des Nations grywa teraz wyłącznie dramata, mające na celu ducha patryotycznego rozbudzać i utrzymywać. Dramata te jednak jak np. „Prise de la Bastille," „Les nuits des boulevards," jak zapowiedziany „Garibaldi," mieszczą w sobie dużo strzępiastych i gorących frazesów, ale dramatami nie są. Wyłącznie także dramatycznemi są teatra: Chateau d'Eau, Ambigu i przedtem Porte St. Martin, ale i tam dramatu prawdziwego napróżnobyśmy szukali. Z pomiędzy mierności chwili bieżącej, wyróżnia się po nad inne, sztuka dwóch młodych autorów: d'Ennery i Brésit „Diana," która niezmiernem powodzeniem w Ambigu się cieszy.

Rzeczywiście umiejętnie bardzo nagromadzone są w niej sceniczne efekta; prawdziwy głos boleści i serca z niej do nas nierzadko przemawia, szkoda tylko, że straszną massę nieprawdopodobieństw w niej nagromadzono. W każdym razie dramat ten przedstawia dużo stron dodatnich i dla rzeczywistych aktorskich talentów, polem popisu bardzo być może.

Później może zdamy obszerniejszą sprawę z tej sztuki, dziś boim się nadużyć waszej cierpliwości i chcemy jedynie dać wam ogólną charakterystykę tutejszych teatrów.

Pomijając dramat, trzy są właściwie rodzaju sztuki scenicznej, którym gust francuzów oprzeć się nie potrafi: operetka, wodewil i sztuka czarodziejska (féerie). Pierwszy rodzaj na wyższą skalę uprawia Opéra comique, a obok niej Folies dramatiques, Renaissance i t. d.; drugi Vaudeville, Nouveautés, Gymnase Athenée etc., féerie coroczne była wyłącznym przywilejem Théatre du Chatelet, ale zachęcony powodzeniem wyrzekł się na rzecz sztuki czarodziejskiej dramatu Théatre de la Porte S. Martin, a zdaje się w ślady ich pójdzie także Gaité, teatr, który rząd na popularny a tani, miał zamiar przerobić. W operze lekkiej króluje nieodżałowany Offenbach. Pomimo wszystkich przeciwko niemu wycieczek, pomimo chwilowych kazań przeciwko zepsuciu, jakie on w massy miał wszczepić, pozostanie maestro ten na zawsze kompozytorem, który lekkość francuzkiego dzieła, pragnienie zabawy, niewybieranie pomiędzy tą jaka się nastręcza i nieżądanie od niej zbyt idealnych absolutnych osłonek, znakomicie pojąć i uchwycić umiał.

Widząc sztuki Offenbacha w Paryżu, zrozumieliśmy jak mylnie i z uprzedzeniem zapatrywano się u nas na niego i pojęliśmy że massy wieńców, jakie niedawno trumnę jego, a dziś grób okrywają, że rozczulenie Sardou, któremu wzruszenie zbytnie nie pozwoliło na pogrzebie przyjaciela przemówić, nie były wcale udane ale z serca i z natury Francuzów płynęły. Nic więc dziwnego, że niesłychanem powodzeniem cieszy się

dziś jego operetka *Belle Lurette* w Rennaissance grywana, a jeszcze większego sukcesu spodziewają się zapowiedziane *Les contes de Hoffmann*, dwie jego ostatnie opery. Wodewilów mnóstwo i ciągle spotykamy nowych. Ważniejsze z nich: „La Cantinière“ w Nouveautés, „La Femme à Papa“ w Vaudeville, „La Bouquette“ w Athenée, „Les Mouchards au couvent“ w Bouffes Parisiennes i t. d. Rodzaj to lekki niezawodnie, treści w nim, oprócz żywego dowcipu i skandalicznych często komplikacyi nie ma żadnej; ale jeśli wielu idzie do teatru po to tylko, żeby się zabawić, żeby się uśmiać i po pracy, nie siląc myśli odpocząć, to cel tutaj osiągnięty.

Wymagamy wprawdzie czegoś więcej od sceny, ale jeżeli na tem mniej przestaje charakter narodowy, jeżeli zwłaszcza odegrane to jest z wesołością i werwą niesłychaną, to pretensye nasze obok zachceń tutejszych upaść muszą. Mówimy tu o tak nazwanych féerie. Jesteśmy tego przekonania, że do tych figlów, przepychu i wystawy dałaby się przyczepić jakaś myśl i treść wyższa, Francuzi jednak nie uważają tego za konieczne, i ich Pilules du diable (Chatelet) i L'arbre de Noël (Porte S. Martin), żadnego literalnie czaru nie mają. Więcej podobno interesu budzi libretto féerie Michel Strogoff z romansu Juliusza Verne, przerobione, ale sztukę tę dopiero po raz pierwszy dano wczoraj i jeszcze jej nie znamy.

Natomiast jednak jakie bogactwo dekoracyi, jakie niesłychane, prawdziwie czarodziejskie figle, jakie wyszukane balety, to rzeczywiście pojąć, nie widząc, jest trudno. Koszta *mise en scène* zwykle są olbrzymie, ale też dobrze urządzona taką sztuka, najmniej na 200 przedstawień rachować może. Zabawnem jest także, że sztuki tego rodzaju przeważnie za miejsce działania Rosyę obierać lubią i ztąd nazwiska takie jak Strogoff, Popoff i t. d., choć o zwyczajach jednak ani o naturze tego kraju nie spotkamy tutaj wyobrażenia, i wstyd jest rzeczywiście dla francuzów, że tak mało wschód Europy znają i że wyobraźnia ich, cuda Tysiąca i jednej nocy odkrywać im tam każe.

Taka już ogromna korespondencya moja, a tak jeszcze dużo chciałbym wam powiedzieć. Będę więc o ile możności najzwięźlejszym, i nowy poemat V. Hugo *L'Ane*, odłożywszy do przyszłego listu, olbrzyma bowiem tego trudno kilkoma tylko zbyć słowy, i niewykraczając już z dziedziny sztuki o wystawie obrazów *de Conture* wspomnieć pokrótce muszę.

Tomasz de Conture, malarz zmarły w roku przeszłym, a cieszący się ogromnym we Francyi uznaniem, dziś lepiej jeszcze niż kiedy indziej ocenionym być może. Wszystkie bowiem jego obrazy, wszystkie szkice, studya i najdrobniejsze rysunki w czterech salach *palais de l'Industrie* zebrano. Szczytem sławy tego artysty była przed kilku laty chwila pojawienia się jego obrazu, zatytułowanego: *Décadence de Rome*.

Odtąd stał on się mistrzem. Młodzi artyści za jego przykładem zaczęli używać długich pędzli, zaczęli nakładać farby *à la Conture*, a krytyka go obok Veronese'go stawiła. Z niezmierną ciekawością czekaliśmy otwarcia zapowiedzianej wystawy, strawiliśmy na niej pokilkakroć dużo bardzo czasu, ze zdaniem jednak i opinii i krytyki pogodzić się nie jesteśmy w stanie. Cała sukcesya długiego żywota malarza, ogranicza się wyłącznie na obrazie Décadence de Rome, inne bowiem takichże samych rozmiarów: Rekrutowanie żołnierzy w 1792 r. i chrzest księcia cesarskiego nie są skończone, a karykatura: rozpusta za cesarstwa, portrety i pojedyncze studya są rzeczami drobniejszemi. *Décadence de Rome*, jest to jedynie orgia z ostatnich chwil Rzymu. Mnóstwo nagich niewiast, bydlęce postacie senatorów i wyuzdana młodzież, w zręcznych, ale zbyt realnych grupach, przedstawia się jako zwikłany w szale rozpusty węzeł u stóp poważnego posągu Germanika. Kompozycya przyznajmy, nie zbyt bogata w pomysł, bo juścić wyłącznie rozpusta i swawola nie były jedynemi przyczynami upadku Rzymu. Ale mniejsza o to, myśli obszernej trudno tam szukać, gdzie z góry jak najmniej jej być miało. Grozą tylko wstrząsa świętokradzka dłoń rozpustnika, z czarą wina do ust poważnego posągu wyciągnięta.

W obrazie przedewszystkiem uderza nas znakomity koloryt, niesłychana biegłość w łączeniu barw i w sztucznem, a niby mimowolnem ich przyćmieniu. To zdala rzeczywiście mimowoli Veroneza nam przypomina.

Nie będąc wtajemniczeni w techniczne środki wywołania takich effektów, z przyjemnością od jednego z rodaków artystów dowiedzieliśmy się, że cała sztuka polega na grubem nakładaniu farb jaskrawych i późniejszem neutralizowaniu ich barwami ciemniejszemi. Metodę tę komunikujemy ludziom fachowym.

W rekrutowaniu żołnierzy i chrzcie Napoleona IV, acz nieskończonych, widzimy też samą tendencyę i toż samo mistrzowstwo w kolorycie; koncepcya tu jednak jeszcze nam uboższą się wydaje, a Napoleon I z obłoków patrzący na chrzest swego prawnuczka tak jest nieodpowiedni do urzędowych min otoczenia i uroczystości w surowym ceremoniale trzymanej, że dziwimy się jak artystę podobna niekonsekwencya nie uderzyła. Koloryt, zapewne to bardzo wiele, ale jeszcze nie wszystko i dla tego w de Conture, geniusza, za jakiego go okrzyczano, nigdy znaleźć nie potrafimy. Mając tylko w tutejszych murach sposobność studyować sztukę i to sztukę przeważnie francuzką, inną wielką zasługę de Conturu'a widzimy.

Oto szkoła *Vernet'a*, wykończenie i dokładność rysunku za pierwszy i jedyny stawiła warunek. Kierunek ten w *Dawidzie* na przykład doszedł do prawdziwej przesady.

Nastąpiła później reakcya i *De la Croix* wyswobodziwszy się z tych pęt, do prawdziwego rozprzężenia dochodził. Otóż malarze tacy jak de Conture, między temi dwoma kierunkami potrafili uchwycić środek i to ich główną stanowi zaletę i malarstwu francuzkiemu dzisiejszemu ważne zapewnia stanowisko.

W de Conture wyraźnym się także robi stosunek tej szkoły do tak nerwowych *Impresyonistów*, a szkoła to wielkiej wagi i grzech nie mały popełniali piszący o Francyi, że tak lekko ją traktowali.

Nie prędzej jak w marcu, to jest w czasie, kiedy tutejsza wystawa malarstwa otwartą będzie, zamawiamy sobie prawo pomówienia o tej kwestyi obszernie.

Sprawozdanie z odczytów.

O naturalizmie w powieści współczesnej.

Dwa odczyty publiczne p. Henryka Sienkiewicza, dnia 5 i 9 b. m. w sali ratusza.

Znany, a tak bardzo sympatyczny autor *Listów z podróży po Ameryce* i wielu ślicznych nowelli, tchnących prawdą, upięknionych sercem i polską rzewnością, przed kilku dniami, w obec licznego zgromadzenia słuchaczy rozwijał swe zapatrywanie na nowy zrodzony we Francyi kierunek w powieści współczesnej, zwany naturalizmem. Twórcą jego i najwybitniejszym przedstawicielem jest p. Emil Zola.

Czytany przez massy, przeceniany lub niedoceniony, a w ogóle wiele różnorodnego zajęcia budzący autor Nany, jest w gruncie rzeczy trudnym do ocenienia przez ogół.

Społeczne też prawdziwie zadanie spełnił pan S., jako kompetentny a wykształconego smaku znawca, rozświecając i zbliska charakteryzując tego sfinksa, tę wielką dla mnóstwa, wykształconych nawet, zagadkę.

Zaczął prelegent od dość pobieżnego, ze względu na brak czasu określenia realizmu, nazywając go przejawiającym się duchem w powieści dzisiejszych czasów, duchem, w którym widoczny jest zwrot od idealizmu, fantastyczności, w ogóle od romantyzmu, ku prawdzie czystość życiowej, ku obserwacyi. W realizmie wyobraźnia upada, służąc tylko niekiedy jako akcesoryum; główną zaś rolę odgrywa dar spostrzegawczy i umiejętność wyrażenia go w pięknej, choć o ile się daje, prostej formie. Jednem słowem jak wszędzie, tak i tu niezbędny jest talent. Obserwacya bez talentu stałaby się nędzotą, utwory nabrałyby cechy *powszedniości*; przeto literatura piękna stałaby się niepiękną: poprostu przestałaby być literaturą.

Naturalizm jest także realizmem; ale nakreślenie granicy, gdzie się kończy realizm właściwy, a naturalizm zaczyna jest tak trudnem, że nawet prelegent trochę niejasno ją uwidocznił. Naturalizm jest krańcowym realizmem; a ponieważ pan Zola jest jego twórcą, rozpatrując więc i poznając jego utwory, najłatwiej wykształconemu i zrównoważonemu już umysłowi owej subtelnej różnicy dopatrzyć.

Pan S., bliżej wyszczególniając utwory Zoli, między którymi *l'Assomoir i Nana* są ostatniemi wyrazami naturalizmu, charakteryzował je, jako brutalne, choć genialne, plastyczne odmalowywanie ścieków i brudów ludzkiej natury, to jest jej popędów i nizkich, nikczemnych skłonności. Dalej, objaśnił nas szanowny prelegent, jakiego rodzaju wpływ podobne utwory na czytelników wywierają. Zola, koncentrując swój bez zaprzeczenia olbrzymi talent powieścio-pisarza na przedstawieniu tego, co w ludziach i ich życiu najniezdrowsze i najpodlejsze, wystawiając na widownię tak brudne i wstrętne obrazy, sam nie wie jakim jest.

A raczej wszystko mu jedno, czy jest moralny, czy niemoralny; czy dzieła jego noszą cechy kierunku idealnego, czy realnego.

Jeżeli zaś przedstawia tak wstrętne ludzkie namiętności; jeżeli niejednokrotnie wtajemnicza czytelnika w najszkaradniejsze i najwięcej cuchnące brudy i zgniliznę: to jeszcze kwestya, czy działa na niego w sposób demoralizujący? Kto wie, czy Balzac w pięknej, *delikatnej* i idealnej formie przedstawiający równe pod względem wartości występki i brudy, malując je ponętnie, drażniąc imaginacyę, nie jest gorszym w tym względzie od autora *Nany*, u którego przynajmniej wyobraźnia pracować nie ma potrzeby?

A więc Zola nie jest demoralizujący w zasadzie; czyż niemniej przeto wpływ jego nie jest szkodliwy? Czyż to roztrząsanie brudów, żadnego ujemnego wpływu nie wywiera? Przeciwnie: wpływ Zoli jest zgubny, zwłaszcza na młode, świeże umysły. Działanie jego podobne do czaru: odurza, obezwładnia; sprawia zawrót głowy. Zola, wprowadzając myśli w świat brudu i zgnilizny, jakkolwiek nie zachęca do występku, raczej wstręt ku niemu obudza; to jednak zanieczyszcza je, a umysł pozbawia świeżości, przytępia poczucie piękna: słowem jest do najwyższego stopnia niezdrowym dla ogółu.

To też nowonarodzony kierunek, *zolizm*, czy *zolaizm*, przyjąć się może tylko w społeczeństwach niezdrowych, strupieszałych, zobojętniałych na to co wzniosłe i piękne w życiu i naturze.

I ten wpływ zgubny byłby najważniejszą przyczyną, dla której Zola, twórca naturalizmu, nie mógłby być twórcą nowej szkoły w powieści, gdyby niestety! i zgubne szkoły nie mogłyby mieć zwolenników.

Zola nie jest więc twórcą nowej szkoły nie dlatego, że jego wpływ jest zgubny, ale dlatego że miał już poprzedników, że np. *Dame aux camélias Dumas'a*, z dodatkiem jednego jej rozdziału fizyologicznego, może być także do naturalizmu zaliczoną.

Autor *Nany*, zaczynając swój cykl powieści, zadaniem których było przedstawić fizyologiczno-psychologiczną historyę rodziny Rougon-Macquart'ów, przedewszystkiem nie trzyma się prawdy fizyologicznej całego społeczeństwa. Chce malować prawdę, być historykiem życia, a tymczasem owa rodzina Rougon-Macquart'ów, powstaje z pijaka i waryatki, co już jest dostateczną rękojmią, że potomkowie jej musieli odznaczać się innemi skłonnościami, popędami i namiętnościami, niż wszyscy inni ludzie zdrowi fizycznie i umysłowo. Popędy ich i namiętności musiały być bardziej zwierzęcemi niż ludzkiemi, a czynniki duchowe, umoralniające nie miały żadnej siły. Historya tak upośledzonej rodziny nie może więc być normalną, lecz poprostu patologiczną. Zola przeto jest tylko patologiem, a ma pretensyę do malowania całkowitego życia, zatem nie ma w nim prawdy. Co zaś nie jest prawdą, nie może być

przez zdrowe, ucywilizowane i moralne społeczeństwo przyjętem; przeto utwory, nie nacechowane nią, nowej szkoły kierunkiem swym zaczynać nie mogą.

Idąc dalej, argumentował prelegent, że Zola, biorąc się do skreślenia owej historyi naturalnej rodziny Rougon-Macquart'ów, postawił się na stanowisku fizyologa, mając pod ręką dzieło o *dziedziczności* doktora Lucca (?), i pragnął się na niem utrzymać. Z tego punktu zapatrywania zamierzał kreślić fizyologiczne „przypadłości“ dziedziczne całej rodziny, główny naturalnie kładąc nacisk na udzielający się potomkom temperament i na nerwy. Zupełnie odmiennie postępował Balzac, podnosząc w swych utworach psychiczną stronę człowieka. Stanowiska wszakże fizyologa i powieściopisarza są tak różne, tak dalekie od siebie, jak dalekiem jest niebo od ziemi. To też Zola jest fantastycznym fizyologiem (contradictio in adjecto).

Jako powieściopisarz ustąpić musiał fizyologowi, zatem podstawowe jego założenie runęło. Przeprowadzenie dziedziczności w historyi rodziny Zoli, często razi niekonsekwencyą, a konsekwencyi *par force* tylko można dopatrzyć. Przykładem, dowodem, służy tu nowella p. t. „La faute de l'abbé Mouret.“

Na zakończenie, wysoko nader podniósł prelegent imponujący talent pisarski Zoli, szczególniej gdy chodzi o plastyczne, namacalne, że tak powiemy, opisanie szczegółów. Plastyczność jest tak wielką, że równej sobie nie ma w utworach żadnego innego pisarza. U Zoli, jak się wyraził jeden z jego niemieckich krytyków „czuć zapach opisywanej szczegółowo natury.“ Z tego wypada, Zola ciekawy i pożyteczny jest dla autorów, którym imponuje talentem.

Zola przerasta swoją doktrynę. Wśród odrażających, wstrętnych obrazów i postaci jak „gwiazda nad kałużą“ jaśnieje romantyczna prawie nowella „Atak na młyn.“ Zaliczyć tu również można „La faute de l'abbé Mouret“ i „La fortune des Rougons.“

Są to prawdziwe, piękne oazy na pustyni.

Zakończył prelegent chwilowem, nawiasowem, ale tak wiele mówiącem, przeniesieniem myśli na grunt polski, mówiąc, że nie naszych, nie smutnych pisarzy myślą i chęcią byłoby dążyć za kierunkiem francuzkiego naturalizmu. Smutek, rzewność, tęsknota za ideałem, to duch i hasło polskiego autora; serce rwie mu się nie do brudnych, lecz do wzniosłych obrazów, do piękna, tej „arki przymierza między staremi i nowemi laty.“

Zacna ta, choć niedokończona myśl prelegenta, szerokiem echem odbiła się w duszach słuchaczy....

Jadwiga B.

NAD BRZEGIEM MORZA.

NOWELLA,

przekład z niemieckiego

Stefanii B.

(Ciąg dalszy).

— Jak tylko ciebie zobaczyłam, Lucy, zaraz poznałam, że stać się możesz czarującą kobietą, żebyś tylko trochę więcej dbała o swoją powierzchowność. Pozwól mi tylko zająć się twoją toaletą.

— Rób, co chcesz, panno Linden; powiedz mi tylko, czy doprawdy na tyle jestem piękna, że mógłby mnie kto pokochać?

— Ależ tak, droga moja! — rzekłam pierwszy raz całując ją w różowe usteczka.

Jakże wdzięczną mi była.

— Z całego serca dziękuję ci, panno Linden; nie możesz sobie wyobrazić, jak jestem szczęśliwą teraz, kiedym się przekonała że nie jestem tak brzydka.

Poczciwa gospodyni, ze łzami w oczach dziękowała mi, kiedyśmy szeszły na obiad, obiedwie jednakowo wesołe i szczęśliwe. Następnego zaraz dnia napisałam do najlepszego magazynu w Królewcu i kazałam przysłać wszystko, co było potrzebne do tualety Lucy. Już nie pamiętam, jak wielki był rachunek nadesłany, ale w parę tygodni trudno było poznać w ślicznej młodej kobiecie, elegancko ubranej, dawnego nieszczęśliwego stworzenia, które przed rokiem poznałam. Przytem stała się bardzo ożywiona i rozmowna, ruchy nabrały nieopisanego wdzięku, a dawna apatya na zawsze zniknęła.

W pewien piękny jesienny wieczór, siedziałyśmy, jak zwykle nad brzegiem morza. Ja myślałam o Brunonie i o mojej starej ciotce, i szczególna wzięła mnie ochota opowiedzieć Lucy moją historyę. Tak ją pokochałam, że przykro mi było skrywać to przed nią; przytem, sądziłam że moja otwartość i ją spowoduje do odsłonięcia przedemną swojej tajemnicy. Wysłuchała mnie z wielkiem współczuciem i przestraszona zaraz zagadnęła:

— Ale przecież nie dlatego opowiedziałaś mi to, Maryanno, że zamyślasz mnie opuścić?

— Nie mam tego zamiaru—zapewniłam ją— i nieopuszczę cię, dopóki mnie potrzebować będziesz.

Ona nagle podniosła głowę i popatrzyła na mnie przenikliwie.

— Chciałabym też i ja opowiedzieć ci moją tajemnicę, i spytać twojej rady.

— Możesz, najdroższa Lucy; to ci ulgę przyniesie i bądź pewna, że tajemnica twoja zostanie przy mnie.

Ona oparła głowę na ręku, wzrok utkwiła w szumiące fale i mówiła głosem pewnym, choć cichym.

— Przysięgłam sobie, że umrę dla świata, że żadne uczucie, żaden interes, nie wyrwą mnie z mojej samotności, i dziwię się jak zdołałaś na nowo zbudzić w mem sercu chęć do życia i miłość tego pięknego świata. Teraz, ja już nie mogę wrócić do życia, jakie niedawno wiodłam, zamknąć się w moim pokoju i myśleć o śmierci. Myśli moje zmieniły kierunek i rozpacz znikła z duszy. Teraz, chcę żyć, ale ciężkie okoliczności związują mnie z temi murami, i to mnie czyni tak nieszczęśliwą. Byłaś tak dobro dla mnie, Maryanno, czy i teraz nie odmówisz mi swojej pomocy i rady?

Uścisnęłam biedne dziewczę, którego twarzyczka pobladła od smutnych wspomnień; zapewniłam o mojej niezmiennej dla niej przyjaźni, i zachęciłam do dalszego opowiadania.

— Imienia mego nie zmieniałam nigdy, nazywam się Lucya von Denner. Jestem jedyną córką nieżyjącego barona von Floor a żoną Adalberta von Denner.

— Jakto?—zawołałam—więc jesteś zamężną?

— Od trzech lat — odpowiedziała — miałam wtedy szesnaście lat. Od tego czasu męża mego nie widziałam, starałam się znienawidzieć go, ale nie mogłam......

— Znam barona von Denner — przerwałam jej—i często spotykałam się z nim w Berlinie.

— Znasz mego męża? Widziałaś go?—zawołała zrywając się Lucy.

— Tak — odpowiedziałam — spotykałam go często na balach i w teatrze. Jestto najpiękniejszy mężczyzna, jakiego zdarzyło mi się widzieć.

Ona rzuciła się ku mnie, i twarz moją pokryła pocałunkami.

— Całujesz mnie, dla tego, że go widziałam?— zapytałam ze śmiechem.

— Tak — odpowiedziała namiętnie — ja tak kochałam go; za jedno jego życzliwe słowo, z chęcią oddałabym życie.

— O ile sobie przypominam, Lucy, baron był szalenie zakochany w pięknej Helling, która parę lat temu czarowała cały Berlin swoją urodą.

— O, ta złotowłosa Gabryela!—zawołała Lucy z nienawiścią.—Com ja przez nią wycierpiała! Więc i ją znasz także?

— Tak, widziałam raz, na operze.

— I piękna ona bardzo?—spytała Lucy smutno. — Powiedz prawdę, Maryanno, ona daleko piękniejsza aniżeli... ja?

— Nie, Lucy. Prawdę ci powiadam, że jeżeli będziesz szanować swoje zdrowie, za rok będziesz jeszcze piękniejsza od niej.

Lucy westchnęła, i dalej ciągnęła swoje opowiadanie:

— Ojciec mój, baron von Floor, był dziwnym człowiekiem. Wysoko położony w społeczeństwie w stolicy, małżeństwo swoje z matką ukrywał i w ogóle był uważany za kawalera. O rodzinie mojej matki, nic nie wiem. Gdzie i jakim sposobem poznał się z nią ojciec, dotychczas jest dla mnie niewiadome, to tylko wiem, że matka moja była włoszką i pochodziła ze szlachetnej, chociaż zubożałej rodziny. Ojciec poślubił ją w małym neapolitańskim kościołku, widziałam kopię ich ślubnej metryki. Imię mojej matki było: Łucya Falerni. Małżeństwo to, jak mówiłam, było tajemnicą dla rodziny i znajomych ojca; co o tem sądziła moja matka, nie wiem, ale nigdy ona nie jeździła do Niemiec, nie znała zupełnie ojczyzny swego męża. Zaraz po ślubie, ojciec kupił śliczną willę w okolicach Como, a ja tam się urodziłam i do dziewiątego roku życia mieszkałam z moją matką. Ojca widziałam bardzo rzadko, zwykle lato przepędzał z nami, i znów wracał do swoich majątków w Niemczech.

Ojciec przekonywał moją matkę, że zimny klimat Północy będzie szkodliwy jej zdrowiu, ale był to tylko powód, żeby jej tam nigdy nie zawieźć. Wiem teraz prawdziwą przyczynę: była nią duma mojego ojca. Uniesiony namiętnością, bo uczuciu temu nie mogę dać nazwy miłości, ożenił się z piękną dziewczyną, za którą, oprócz nadzwyczajnej urody nic nie przemawiało, i tego nie mógł sobie darować do końca życia. Miał możność wybrać sobie żonę z najwyższej warstwy społeczeństwa, tymczasem związał się z nieznanego imienia cudzoziemką, ku której, pomimo jej nieporównanej piękności, prędko ostygł w uczuciach.

Willa nasza była zupełnie odosobniona. Stosownie do życzenia ojca, matka moja unikała znajomości, żyłyśmy samotnie z małą liczbą służących, włochów, między któremi jedna pani Klein, klucznica, którą ojciec mój przysłał, kiedym się rodziła, była niemką. Jednostajne nasze życie, przerywane było tylko przyjazdem mego ojca, który przywoził z sobą radość a zostawiał smutek.

Jakże ja gorąco kochałam moją matkę! Teraz serce moje ściska się przy każdem wspomnieniu o niej: życie inaczejby się złożyło, gdyby ona żyła! Od czasu jej śmierci nikt mnie nie kochał, i nikt nie zatroszczył się o sierotę, dopóki ciebie nie poznałam, Maryanno!

Łono dziewczęcia spazmatycznie drżało od ciężkich łkań, gorzkie łzy zalewały twarz.

— Nie opowiadaj pani więcej—rzekłam przytulając ją do siebie—to zbyt wzrusza cię.

— Chcę ci wszystko powiedzieć, Maryanno! tylko jeśli mnie kochasz, nazywaj mnie jak przedtem, Lucy.

— Z chęcią, najdroższa Lucy—powiedziałam, uśmiechając się przy myśli, wiele inne kobiety dałyby za ten tytuł baronowej, który tak przestraszał biedną dziewczękę.

— Nie wiem, czy matka moja martwiła się swojem położeniem, ale skargi nigdy od niej nie słyszałam, chociaż piękna jej twarz była tak blada i smutna. Całemi dniami siedziała zadumana i wpatrywała się w kryształową powierzchnię jeziora, błyszczącą w słonecznym blasku. Ja siadałam u jej nóg i tuliłam głowę na jej piersi; ona często głaskała moje włosy, całowała z czułością, a łzy jej rosiły twarz moją. Teraz dopiero pojmuję, co ona wycierpiała: boleść zabiła ją.....

Raz ojciec przywiózł z sobą niewielki portret, pięknego kilkunastoletniego chłopca; matka spytała, kto to?

— To portret mojego siostrzeńca, Adalberta von Denner—odpowiedział. Pamiętam, że wtedy wziął mnie na ręce i dodał śmiejąc się:—Gdybyś ty była chłopcem, Adalbert nie zostałby właścicielem Florbachu, a tak, to bardzo prawdopodobne.

Na te słowa, łzy potoczyły się po licu matki

co widząc ja wyrwałam się od ojca, pobiegłam ku niej i objęłam rączkami jej szyję.

— Gdybyś ty była synem, drogie dziecię — wyszeptała całując mnie — ojciecby nas zabrał do swojej ojczyzny.

Ku wielkiej mojej radości, ojciec zapomniał wziąć z sobą tego portretu, został się u nas i był dla mnie źródłem niewyczerpanych zabaw i przyjemności. Nie znałam zupełnie towarzystwa dzieci, było ich wiele w sąsiednich willach; lecz z niemi nie znajomiliśmy się zupełnie, tak więc portret stał się moim nierozłącznym towarzyszem. Przedstawiał on chłopca lat piętnastu, nadzwyczaj pięknej twarzy, z wielkiemi niebieskiemi oczyma i blond włosami, co mnie, przywykłej widzieć smagłe, czarnowłose dzieci, wydało się ideałem piękności. Portret ten zachowałam do dziś: pokażę ci go. Całemi godzinami lubiłam z nim rozmawiać, jak gdyby był żywy; stawiałam go przed sobą na krześle i głośno opowiadałam mu rozmaite historye i moje dziecinne przygody.

— Raz matka usłyszała moją rozmowę.

— Lucy — zawołała z drugiego pokoju — kto tam jest z tobą?

— Adalbert von Denner, mamo — odpowiedziałam poważnie.

Ona przyszła do mnie, i zobaczywszy obraz na krześle, uśmiechnęła się smutno

— Ja często z nim rozmawiam, mamo, tylko on nie odpowiada mi—rzekłam z żalem.

— Wolałabym, żebyś mniej patrzyła na tę twarz, Lucy. Coś złego przeczuwam... Oddaj mi lepiej ten portret.

— Zostaw mi go, droga moja—prosiłam tak gorąco, że matka nie nalegała więcej: ale jak prawdziwemi były jej przeczucia. O! Maryanno, opowiedzieć ci o jej śmierci, przechodzi moje siły! Do ostatniej chwili leżałam w jej objęciach, zdawało mi się, że łzy moje przebłagają okrutną śmierć... Napróżno. Moralne cierpienie zabiło moją ukochaną matkę.... Pochowali ją na wiecznie zielonych brzegach jeziora Como i tylko cichy wietrzyk, szeleszcząc między mirtowemi gajami, śpiewa jej pieśń pogrzebową...

Mnie wywieźli z Włoch zaraz po śmierci matki, służba została rozpuszczoną i tylko pani Klein towarzyszyła mi w podróży do Niemiec, gdzie po przybyciu, osadzili mnie w majątku mojego ojca. Ale i tu ukrywali córkę barona Floor, nie chiał i teraz, żeby świat dowiedział się o jego ożenieniu.

Otoczenie moje w nowym domu było bardzo nie liczne. Pani Klein zajmowała się całem gospodarstwem, brat jej był lokajem i oprócz tego najęli jeszcze guwernantkę dla mnie. Biedna panna Blumberg! Umarła już i nie wesołe były te kilka lat, które przeżyła ze mną. Dobrych stron charakteru odmówić jej nie mogę, mimo to nie zdołałam jej pokochać, być może, za nieustanne przypomnienia o etykiecie, której dzikie, samowolne dziecię poddać się nie chciało.

Przeszło tak pięć lat, a przez ten czas nic żywiej nie zajęło mego umysłu i serca. Po dawnemu tęskniłam za matką, i z tej tęsknoty mojej spowiadałam się przed portretem Adalberta. Dzielić z nim moje smutki i każdą myśl weszło mi w zwyczaj, i to mi większą przynosiło ulgę, aniżeli wszystkie starania mojej guwernantki, podjęte w celu zajęcia mnie i rozerwania mego smutku. Kochałam tylko portret i poczciwą panią Klein, która przypominała mi szczęśliwe lata dzieciństwa, przeżyte z matką nad brzegiem jeziora.

Jednostajne nasze życie przerwała naraz depesza, donosząca o niebezpiecznej chorobie mego ojca i życzeniu jego, żebym natychmiast przyjeżdżała. Przygotowania nie trwały długo, panna Blumberg mi towarzyszyła, i po kilku godzinach drogi, stanęliśmy w Berlinie.

Na banhofie czekała nas kareta. Jak odurzona wstępowałam do domu mego ojca. Wszystko było tak bogate i wspaniałe, że dotąd nic podobnego nie widziałam w mojem życiu. Służba z uszanowaniem otwierała przedemną drzwi jedne po drugich, nazywając baronówną von Floor. Zatrzymaliśmy się w miękkim, dywanem zasłanej bawialni, przylegającej do pokoju chorego. Gdy tu jakiś czas siedziałam w męczącem oczekiwaniu, drzwi otworzyły się i wszedł młody wysoki mężczyzna.

Był to Adalbert von Denner! Mnie się zdawało, że to portret mój ożył i stoi przedemną i naraz zapomniałam, żem tu obca i nieznana nikomu, taką odwagą i radością napełnił mnie jego widok.

Ileż ja razy całowałam te błękitne oczy, w chwilach osamotnienia jak często pieściłam te złociste kędziory!...

Twarz jego nie zmieniła się zupełnie, wzrok, który tak doskonale znałam, miał ten sam wyraz szlachetności i dobroci. Zdawało mi się, żem spotkała starego, drogiego przyjaciela.

Podniosłam się szybko i schwyciwszy go za rękę zawołałam:

— Ty jesteś Adalbert von Denner: znam cię.

On uśmiechnął się i nachyliwszy twarz ku mnie cicho zapytał:

— Gdzie ty mnie widziałaś? Bo ja ciebie nie znam.

— I ja ciebie także nigdy nie widziałam, ale mam twój portret; jak byłam dzieckiem, zawsze myślałam że on żywy i rozmawiałam z nim.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Rzeczy społeczne.

— W Krakowie uorganizowało się „Koło literackie,“ którego zadaniem będzie, poparcie sztuki i literatury, i rozbudzenie życia towarzyskiego między literatami i artystami.

Kraków posiada w swem łonie wielu pracowników, poświęcających się literaturze, wielu szperaczów dzieł i spore grono artystów. Otóż gromadka ta ze względów na cele dla których pracuje, powinna żyć bardziej zespoloną, wspólnie wspomagać się, objaśniać, uzupełniać wiedzę swą wymianą myśli. Koło w zupełności zadaniu temu odpowie. Członkami zwyczajnemi Koła, są tylko artyści i literaci.

Raz na miesiąc odbywać się będą ogólne zebrania członków, na których miejsce mieć będą odczyty, oraz dyskusye z zakresu literatury i sztuki. Raz zaś do roku w maju lub czerwcu odbywać się będą walne zgromadzenia członków, na których przedstawiony zostanie obraz całoroczny działalności Koła i stan jego finansowy.

Towarzystwo to mieć będzie swój lokal, stosownie urządzony, czytelnię, bibliotekę, zbiory artystyczne. Odbywać się tu będą: odczyty, konkursa z zakresu literatury i sztuki, wydawnictwa, zabawy i t. p.

Sprawami Koła zarządza komitet, na prezesa wybrany został Juliusz Kossak, cieszący się ogólną sympatyą i szacunkiem; zastępcą prezesa Asnyk, podskarbim Sławomir Odrzywolski architekt, a sekretarzem Ziemięcki.

Do komitetu weszli:

Z literatów: Artur Bartels, ks. Ig. Polkowski, Kazimierz Bartoszewicz, prof. St. Tarnowski, prof. Józef Szujski i Juliusz Mien.

Z artystów: Hipolit Lipiński, Leopold Leffler, Ludomir Benedyktynowicz, Witold Pruszkowski, Marceli Gujski i Stanisław Niedzielski, dyrektor Towarzystwa Muzycznego.

Komitet zamierza urządzić naprzód seryę odczytów, uchwalono jeden dzień w tygodniu poświęcić na wieczorki, w których muzyka, deklamacye, śpiew i wesołe pogawędki złożą się na program.

Bibliografia.

— Wyszła świeżo nader zajmująca książka, której potrzeba oddawna czuć się dawała. Mówimy tu o antropologii. Zawiera ona najcenniejsze utwory naszych wieszczów. Rysunki Lessera, Andriollego, Gersona, zdobią to wytworne wydawnictwo, które bez zaprzeczenia rozpowszechnić się powinno.

— Prospekt zapowiada zbiór rycin Jeremiasza Falka rysownika naszego, dobrze iż rozproszone dzieła sztuki w jedną się całość złożą.

— Andriolli illustrować będzie arcydzieło Mickiewicza „Pan Tadeusz.“ Będzie ono mało co mniejszych rozmiarów niż Biblia Dorego.

Zeszyt kosztować będzie rs. 1 kop. 80. Dzieło okaże się w zbytkownej okładce.

Nekrologia.

— Rok stary zakończyć trzeba oddaniem hołdu pamięci zmarłych.

W dniu 2 października b. r., zgasła w Klecku w ks. Poznańskiem ś. p. Julia Chęcińska, czasowo tam u krewnych przebywająca. Życie jej, to nieprzerwane pasmo uczynków miłosierdzia; trudno przeliczyć co w skrytości i pokorze serca zrobiła, a wiedzą o tem biedni miasta Warszawy. Ktoby chciał w jednem słowie życie ś. p. Julii określić, musiałby powtórzyć o niej słowa Pisma Świętego: „Przeszła czyniąc dobrze.“ Sama niezbyt zamożna, potrafiła jednak wyjednać wielkie ofiary i niemi prawdziwie potrzebujących i cierpiących w skrytości wspomagała.

Nędza w ukryciu największe w ś. p. Julii wzbudzała współczucie. Wiedzieli o tem dobrze biedacy i zawsze drzwi jej były oblężone przez nieszczęśliwych.

Tu starzec ociemniały woła o pomoc, ś. p. Julia przez swe zabiegi i starania wyjednywa mu schronienie w szpitalu na całe życie; tam sieroty pozostały opuszczone, ona je bezpiecznej powierza opiece; owdzie gdzieś pod strychem chory bez pociechy, jęczy na łożu boleści: ona sama z narażeniem wątłego zdrowia podaje mu posiłek i lekarstwo. Tam znów wdowę z drobnemi dziećmi za niepłacenie komornego wyrzucają; ona dowiaduje się o tem, spieszy i hojnie wspiera, uzbieranym z narażeniem się częstokroć u możnych tego świata groszem: jednem słowem, gdziekolwiek się na chwilę zatrzymuje, tam ulgę i pociechę przynosi ubogim i chorym; gdziekolwiek przeszła, tam „*przeszła dobrze czyniąc.*“

W sprawie podrzutków, niejednokrotnie głos zabierała wołając o miłosierdzie dla maluczkich i śmierć właśnie przyszła wtedy, gdy najgorliwiej zajęta była spełnieniem tak wielkiego dzieła; głęboko też zasmuciła rodzinę i przyjaciół, a biednym zabrała anioła opiekuńczego.

Opis ryciny kolorowanej.

Ryc. 1. Suknia kortowa koloru ciemno-zielonego, u dołu falbankami ubrana, powyżej zaś w fałdy szerokie splisowana. Poloneza z kapturkiem i kołnierzem pelerynkowym, bardzo zręcznie na figurze upięta, ozdobiona jest sznurami i chwastami. Toczek popielaty kastorowy, pluszem zielonym i długiem piórem przybrany.

Ryc. 2. Płaszczyk koloru bronzowego z peleryną, stembnówką ozdobiony; kołnierzyk i mankiety u rękawów paltotowych z pluszu bronzowego: toczek jasny, bronzowym pluszem i piórami przybrany.

Ryc. 3. Suknia wizytowa z materyi ciemno-bordeaux. Składa się ze spódnicy falbaneczkami przybranej, tuniki aksamitnej gładkiej, z przodu otwartej. Poloneza w rzucik, na tle bordeaux, falbanką w wachlarzyki przybrana, z upięciem à panier; kapelusik jedwabny bordeaux z takiemże piórem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Jod. 100 rs. odebraliśmy, list objaśniający wysłany: czekamy dalszych dyspozycyi.

Pani St. K. Suknia podług żądania pani, będzie zrobiona.

Pani Zofii Łom. Dziękujemy za uznanie i list serdeczny. W następnym roku postaramy się więcej pismo rozwinąć.

SPROSTOWANIE.

W Numerze 36, w wierszu p. t. „Dziewczę w kłopocie“ w 5 zwrotce w ostatnim wierszu, zamiast *czepieradło* czytaj *czupiradło*; w 14 zwrotce w ostatnim wierszu zamiast: Tu nie śmiem *bo* wierzę, czytaj: Tu nie śmiem *a* wierzę.

TREŚĆ NUMERU. W krainie złota. Nowella przez Litwosa (c. d.).—Prośba zrozpaczonego (wiersz) Bogumiła Aspisa.—Sosna i palma (wiersz) K. Pieńkowskiego.—Z tygodnia.—Wzór opowiadanej dla dzieci lekcyi Antropologii, przez Adolfa Dygasińskiego (ciąg dalszy).—Wydawnictwa dla dzieci i młodzieży.—Korespondencya z Paryża (dokończenie). Sprawozdanie z odczytów H. Sienkiewicza.—Nad brzegiem morza. Nowella. Przekład z niemieckiego St. B. (ciąg dalszy).—Rozmaitości.—Opis ryciny kolorowanej.—Odpowiedzi od redakcyi.—Sprostowanie.—Ogłoszenia. **W Dodatku:** Lord Brackenbury. Powieść przez Amelią B. Edwards. (Ciąg dalszy).

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, Lord Brackenbury, 7.

Дозволено Цензурою. Варшава 11 Декабря 1880 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14.

Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**